

Mateusz Matyszkowicz o zbiorze felietonów Macieja Rybińskiego

Maciej Rybiński tym różnił się od modnych chichaczy i chichotników,
że nie był nihilistą



**Maciej Rybiński tym różnił się od modnych chichaczy i
chichotników, że nie był nihilistą**

Tekst ukazał się w najnowszym numerze Frondy

Jedni uskarżają się, że zadupia u nas za dużo. Inni, że za mało. Jedni z zadupia chcieliby nas wyprowadzić, a inni w nim zamknąć. Jeszcze inni to nasze położenie mają głęboko. Zgody w tym podzielonym narodzie nie znajdziecie.

Ktoś powiedziała by, że jedyne, co nas może połączyć – nas pogrążonych i nas wychodzących – to chichot. Zdrowa dawka ironii i sarkazmu, czy pozostajesz, czy wychodzisz, godna pochwały postawa mistrzów. Chichot ma uleczyć nas z zaciętrzewienia i otworzyć oczy. Chichot, jak powiada współczesna medycyna, dobrze wpływa na duszę i ciało. Uczucie lekkości, w jakie wprawić nas może rechot, ten gardłowy i ten wydawany z pomocą nosa, chichot wybuchający czyli parskanie oraz śmiech zawałowca, zatem głębokie wciągnięcie powietrza aż do zachłyśnięcia i wreszcie śmiech nazywany szczerym, ten, który wymaga przytrzymania przepony – więc ta cała lekkość może leczyć z rozmaitych narodowych przypadłości. Przypadłości narodowe diagnozowane są od lat przynajmniej trzystu i wiemy, że nic z nich dobrego wyniknąć nie może, potrzeba zatem stałej terapii i używamy do niej śmiechu.

Najważniejsze jednak, że którykolwiek ze wspomnianych rodzajów śmiechu, o ile praktykowany regularnie i z zapamiętaniem, bez zbędnych przerw i bez – jak to się mówi – kozery, może wreszcie usunąć nie tylko przypadłości, ale także ich źródło. Nie tylko uleczy objawy, ale i chorobę. Chorobą jest polskość i wszelkie się nią przejmowanie.

Jest jednak pewien rodzaj chichotu, który pod żaden ze wspomnianych rodzajów za nic nie pasuje, wymyka się – nie z zadupia całkiem, ale chyłkiem uchyla drzwi i siada sobie przed chatą. Chichot na ławce przed domem, pod gruszą, na lewo róże, na prawo gumno. Jak powiada klasyk: „Zawsze lepiej chichotać na zadupiu, niż wychodzić na idiotę w awangardzie”.

Tym klasykiem jest Maciej Rybiński, spadkobierca wielkiej tradycji polskiego felietonu. Człowiek, który kiedyś miał cykl felietonów pt. „Jestem, więc piszę” i tym tytułem określał siebie względem świata. W ten sposób stał się Panem Felietonem, bo poza tym, co zamknięte w gazetowej formie, nie można człowieka poznać, dowiedzieć się o nim czegokolwiek, co nie zostało ujęte tu i teraz, w przejściowej i literackiej formie.

Poza felietonem felietonista nie istnieje i pewnie dlatego autorzy tych krótkich form zwykle nie zostają celebrytami. Zdarza się wprawdzie droga odwrotna, czyli od celebryty do felietonisty, ale kończy się to zwykle żałością. Pomiędzy celebrowaniem siebie na przyjęciu i w towarzyskich rubrykach a dzierganiem krótkich tekstów – z których każdy ma zadanie podwójne, to znaczy ma ujmować całość wszechświata i jednostkowe wydarzenie w jednym – jest jakaś sprzeczność. Felietonista bowiem siebie nie celebrytuje, ale kreuje. Kreacja zaś ściśle przyporządkowana jest końcowemu efektowi, którym nigdy nie jest wizerunek piszącego, ale trwały efekt, jakieś odcisnięcie się w duszy czytelnika, dysonans lub po prostu chichot.

Nieco później, po powrocie do Rzeczypospolitej, Rybiński pisał w ramach cyklu „Ryba-Ludojad” – i właśnie te felietony możemy przeczytać w wydany przez krakowskie Wydawnictwo M zbioru. Ryba mianowała się ludojadem i przystąpiła do krwiożerczego dzieła. Nie miała tu litości. „Michnik gra na trąbie, ale nie umie”. Albo: „...jak nam się znudzi zbudzi myślenie, zapiszemy się do partii, zrobimy karierę i będziemy brać diety”.

Rybiński próbował wprowadzić nas w ten stan, który towarzyszył mu nieustannie. W swoim ostatnim tekście napisanym ku pocieszeniu krakusów, którym miał opowiadać o felietonie, ale nie zdążył i znalazł się w szpitalu, przyznawał, że nie wie, czym jest felieton. Nie chciał zamykać go w jakiejś teoretycznej formule, bo felieton był dla niego przede wszystkim sposobem działania w świecie i metodą na to, by sobie z nim poradzić i wreszcie był to światopogląd.

Dziwny to światopogląd, jeśli nie można go ująć w teoretycznej formule. Światopogląd, który jest raczej metodą, czy też – jak jeszcze pisał Rybiński – skłonnością umysłu. Polega ona na tym, że wszystko doprowadza się do logicznego końca. Jeśli doprowadzamy do końca, osiągamy absurd. Osiągając zaś absurd, docieramy do sedna rzeczywistości. „To dlatego właśnie szydercze prognozy felietonistów zawsze się sprawdzają” – poucza nas mistrz.

Czym jest ta rzeczywistość, której istotą jest absurd, to inna sprawa. Rybiński bowiem tym różnił się od modnych chichaczy i chichotników, że nie był nihilistą. Gdzieś u podstawy tej wieloletniej działalności Rybińskiego leżała troska. Troszcząca się ryba-ludojad. A jednak. Pisał,

bo się martwił. Jeśli się martwimy, to mamy o co. Jeśli mamy o co, to jednak istnieje coś ponad chichotem i szyderstwem. Coś czemu warto się poświęcić. Na przykład pisaniem felietonów.

Maciej Rybiński, Ryba Ludojad, Wydawnictwo M, Warszawa 2011

www.pismofronda.pl